DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

Rok XXIX Berlin, niedziela, dnia 11-go stycznia 1925 r. Nr. 2

WŁ. SYROKOMLA (L. KONDRATOWICZ).

Do grajka.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży
I basista nienajgorzej;
Ten zawadzi, ten poprawi
Niech im Pan Bóg błogosławi!

Stary Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami jedna, druga,
Lecą głową do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone
Na ten smyczek, na tę stronę:
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą.
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwyta,
Ta do tańca znakomita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty.
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina!
Czapka na bok, ostra mina.
Z przewieszoną tedy połą
Pomaleńku, ano wkoło,
Potem raźno na odsibkę,
Bodajże cię za tę skrzypkę!
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby wkoło!
Za drugiemi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce:
Kędy spojrzeć, radość wszędy.
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu na wysokim
Przygląda się jednem okiem.
Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża:
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
„Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie".

Danaż moja, dana, dana!
Od wieczora, aż do rana.
Grajże, grajku, bo daremno,
A ty, Baśko, kręć się ze mną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze:
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze, to wygrzmoci.

Zagrajże mi, grajku, proszę,
Wysypię ci w skrzynkę grosze.
Więc i dziewczę, szczerze licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho:
Grajże, grajku, będziesz w niebie
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi.
Po weselu cicho wszędy,
Tylko kogut sfrunął z grzędy
I na śpiących snem głębokim
Ogląda się jednem okiem.

FR. LANGER.

Ślepi.

(Z czeskiego przeł. D. Kr.).

Drogą, co wiodła przez las sosnowy, jechał Honza na koniu. Las dyszał wonią wiosny, droga była biała jak wymyta, a nad głową pas nieba modry. Honza jechał, jechał i o czemś myślał, o czemś nieokreślonem. Nagle spostrzegł, że na drodze siedzi troje dzieci. Sami chłopcy, rumiani, pyzaci, z których najstarszy mógł mieć lat dwanaście, średni pięć, najmłodszy trzy lata. Zawołał:

— Chłopcy, zejdźcie z drogi!

Dzieci zwróciły się twarzyczkami ku niemu i wyciągnęły rączęta w stronę, skąd je głos dochodził.

Po ruchach poznał Honza, że są ślepe. Modre, jak bławatki ich oczy świata nie widziały.

— Pozostańcie na miejscu! Nic wam się nie stanie!

Koń, jakby chciał zaznaczyć miejsce, gdzie się znajduje, zarżał głośno. Jeździec zszedł z konia, wziął dzieci za ręce i zaprowadził na skraj lasu. Trzeciego, najmniejszego, z czerwonemi jak wisienka usteczkami odniósł na rękach i ostrożnie na mchu posadził.

Gładził go po policzkach białych.

— Nie odchodź od nas, — rzekło jedno z dzieci.

— Przyprowadź nam konia!

Honza spełnił ich życzenie.

Dzieci głaskały konia po szyi, po nozdrzach, a koń cichem parskaniem przyjmował te pieszczoty.

— Czy wam koń mój się podoba? — zapytał.

— O tak, jest bardzo ładny.

— Ładny? Czy go widzicie?

Dzieci się zaśmiały i odrzekły:

— Sierść ma miękką...

— Ręka po niej ślizga się jak po wodzie.

— A jak cicho oddycha... jakby wietrzyk muskał trawę...

— A nozdrza ma takie gładkie, jak nic w świecie!

Honza był zdziwiony.

— Czy wiecie, że w okół was jest pięknie? że jest wiosna?

Obaj starsi odpowiadali głosem dźwięcznym i śpiewnym kolejno. Najmłodszy milczał i bawił się koniem.

— Wiosną ptaki śpiewają i w nocy gdy się obudzę jakiś ptaszek śpiewa. Słyszymy w ogrodzie dziewczęta, śpiewające od rana do wieczora...

— Ja, gdy rano wyjdę z domu, siadam sobie na trawie. Jest chłodna od łez, które noc wypłakała. Później czuję, jak mnie dotykają ciepłe promienie słoneczne. Czuję, że niektóre kwiaty są ciężkie jak aksamit, inne lekkie jak wietrzyk. A gdy raz schwyciłem motylka, miał na skrzydełkach pył i ten pył został mi na palcach.

— Inaczej pachnie łąka i inaczej miedza polna, inną wonią dyszy brzeg potoku. W ogrodzie jest woń bzu, jaśminu i kasztanów. Wiemy gdy kwitną lipy. Chciałbym całą noc przeleżeć pod kwitnącą lipą.

— I woń pszczelnego miodu znamy. Słyszymy, gdy nam koło głowy pszczółka zabrzęczy. W lesie czujemy woń żywicy.

— O tak wiele wiecie — zdziwił się Honza.

— To niewiele, więcej wie Ela.

— Któż to ta Ela?

— Ela jest naszą siostrą. Jej tutaj niema, poszła w las i w lesie siada na brzegu potoku. Później po nas przyjdzie i zaprowadzi do domu...

— Czy widzi?

— Nie widzi. Nikt z nas nie widzi, ani matka, ani my. Ale z nią jest Burek.

— Czy to pies?

— Tak. On widzi, ale nie umie mówić.

Jeden z chłopców przyłożył dłonie do ust i zawołał:

— Elo, pójdź do nas, tu jest ktoś!

Po chwili odezwały się kroki i szczekanie pieska.

Z lasu wyszła dziewczyna. Mały czarny pies ustawicznie szczekał.

— Burku, nie szczekaj! — zawołały dzieci.

Honza patrzał na dziewczynę. Była zachwycająco piękna. Chciał się widokiem jej nasycić, wiedząc, że tego nie zobaczą.

Miała na sobie jasno-zieloną sukienkę, przylegającą do wiotkiego ciała. Z szerokich rękawów wyglądały ponętnie białe ramiona i drobne dłonie. Oczy jej były ciemniejsze niż u braci, miały barwę fijołkową.

— Któż jest ten obcy? — zapytała.

Honza sam odpowiedział:

— Przyjechałem konno, dzieci były na drodze. Koń byłby je przejechał.

— Chłopcy się zawsze gdzieś błąkają. Ale tu nikt nie przychodzi, im się nic nie stanie...

— Opowiadali mi wiele rzeczy ciekawych.

— To prawda, my ślepi, przecież wiele wiemy.

Dzieci przerwały jej rozmowę:

— Elo, daj nam Burka, chcemy pójść do potoku.

Wzięły pieska i poszły, trzymając się za ręce.

I koń się podniósł, jakby chciał iść za niemi. Ale zwrócił się do rowu przydrożnego i skubał trawę.

Ela usiadła na mchu o kilka kroków od Honzy.

— Są niespokojni — mówiła Ela; wogóle jest wszędzie jakiś niepokój. Czy tego nie zauważyłeś?

— Czemuż miałby być niepokój?

— Ja przynajmniej czuję go w sobie, ale może być, że mi się to tylko wydaje.

— Przed laty i ja nie mogłem patrzeć na kwitnącą jabłoń bez wzruszenia...

— Niepokój ogarnia mnie, gdy przechodzę obok kogokolwiek. Niepokoją mnie brzęczące muszki, które nad potokiem słyszę. Skąd to pochodzi?

— Trudno rzecz wytłumaczyć; zresztą nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, co myślę i jak myślę. Nie znam ciebie i ty mnie nie znasz!

— Ja cię już troszeczkę znam, — podniosła ku niemu główkę: oto słyszę twój głos, a dźwięczy tak łagodnie, zresztą ty mnie widzisz.

— Jesteś piękną, Elo.

— Widzisz mnie, więc mnie znasz — mówiła spokojnie.

— Ach, zapomniałam cię spytać, jak ci na imię.

— Honza.

— Powiedz mi, czy są rzeczy, które jeden przed drugim taji? Powiedz mi, skąd pochodzi mój niepokój?...

— Z miłości...

— Miłość. Znam to słowo.

— Znasz je?... jest czemś powszedniem...

— Dla mnie nie!

— Mówisz, że miłość rozumiesz?

Opuściła główkę, jakby się wstydziła. Długie rzęsy jej oczu przymknęły ku sobie. W palcach mięła źdźbło trawy.

— Nie myśl o mnie! jestem ślepem dziewczęciem, rozpoznaję rzeczy inaczej, przeważnie wszystkiego się domyślam. Wiem bardzo dużo. Aż nadto i dlatego jest mi smutno... Czasem, gdy nad potokiem siedzę w krzakach ukryta, słyszę dziewczęta, zbierające jagody, jak opowiadają o swych kochankach i co z nimi mówiły, przechadzając się wieczorem. I o pocałunkach mówią, a głos ich drży dziwnie. Ich pocałunki są upajające jak woń jaśminu, od którego głowa boli, gdy go w nocy mamy w izbie!... Czasem znowu siadam przy drodze na wzgórzu za krzewem róż polnych. Gdy dziewczęta wracają z pola, idą pomału, a każda ma przy sobie młodzieńca. Słyszę ich szept i oddech... O jak mi tęskno w takich chwilach. To przechodzi obok mnie miłość...

Patrz na nią. Miała usta rozchylone przy każdem słowie, odsłaniała białe ząbki.

Mówiła cicho, a głos jej dźwięczał, jakby ktoś w srebrne struny luteńki trącał.

Chwilę milczeli oboje.

Potem rzekł Honza:

— Widocznie kogoś kochasz, jak te dziewczęta, których rozmów słuchasz w lesie...

— Kogóż bym kochała? Nikogo nie widzę, nikt na mnie nie patrzy, nikt mnie nie rozumie.

— Zapewne tęsknisz za kimś...

Lica Eli zapłonęły pąsem.

— W rzeczywistości. I ta tęsknota jest dla mnie najboleśniejszą. Nie myśl nic złego o mnie, powiem ci wszystko dlatego, że mnie rozumiesz... Jesteś pierwszym, kto do mnie tak przemawia. Zdaje mi się, że jestem widząca. Gdybym tego nie powiedziała, byłoby mi na duszy jeszcze ciężej. Ale chciałabym, aby ktoś mnie przyszedł przycisnąć do piersi i w same usta całował.

Honza wstał i siadł obok niej.

— Rozumiem — rzekł.

Wziął jej główkę w dłonie, nachylił ku piersiom i pocałunek złożył na ustach.

Były chłodne, jak listki róży.

— Wezmę cię ze sobą, czy pojedziesz?

— Tak. Jestem szczęśliwa. Widzę cię oczyma duszy. Jesteś piękny! Całuj mnie wciąż, całuj!...

Całował ją, dotykając lekko ust.

— A więc pojedziemy. Chłopcy sami dostaną się do domu. Pies ich zaprowadzi.

— Pójdźmy, pójdźmy!

Koń zastrzygł uszami i stanął na drodze.

Honza wziął Elę w ramiona i posadził na siodle a sam kroczył obok.

Siedziała wyprostowana, jakby natchniona. Pod kopytami konia unosił się lekko biały pyłek. Jechali w dal, w tajemnicze, nieznane szczęście...

Łużycka Pieśń o Chrobrym.

W trzykrotnej wojnie z Niemcami trzy razy Chrobry powoływał pod swoje znaki Serbów Łużyckich. Wtargnąwszy w roku 1002 po raz pierwszy do Łużyc, wziął Budziszyn i oparł się aż po Miśnię. We wszystkich tych wojnach, więc w latach 1002 do 1005, 1006 do 1013 i 1015 do 1018, walczyli w szeregach Chrobrego Serbowie Łużyccy, których ziemię na mocy ugody w Merzeburgu r. 1013, następnie zaś na mocy pokoju w Budziszynie r. 1018 weszły w skład jego państwa. Dopiero Mieszko II musiał zrzec się Łużyc i Milska r. 1033, za wyjątkiem obwodu lubowskiego, który należał do Polski do połowy wieku trzynastego.

W cieniu miecza Chrobrego odetchnął na chwilę naród Serbów Łużyckich, których potem ogarnęło morze niemieckie już na zawsze. A jednak na olbrzymiem cmentarzysku Słowian zachodnich ocalał szczątek tego narodu, liczący dziś około 150 000 głów wszystkiego.

Podanie i pieśń ludowa Łużyczan przechowała jakieś ślady tej krótkiej chwili jaśniejszej z czasów Chrobrego. Do dziś dnia, jak stwierdza W. Bogusławski w swym „Rysie dziejów serbo-łużyckich", wydanym roku 1861 w Petersburgu, Serbowie Łużyccy wskazując głaz wielki, co leży na dziedzińcu zamku Ortenburg pod Budziszynem, nazywają go „wercha" Bolesława. Nie wie już podanie, dlaczego kamień ów nazwano imieniem Bolesława. Czyżby Bolesława Chrobrego?

O Bolesławie Chrobrym i o jego zwycięstwach nad Niemcami wdzięcznie wspomina prastara pieśń ludowo-serbsko-łużycka, którą podaje Jan Ernest Smoler, Łużyczanin, zasłużony działacz łużycki w zbiorku pieśni swego narodu p. n. „Pieśnički Hornych a Delnych Łužiskich Serbów", wydanym w r. 1844.

Mówi ta pieśń, którą podajemy niżej, o trzech zwycięskich wyprawach na Niemców pod wodzą jakiegoś bezimiennego króla-księcia, który wszystkich wojów bogato nagradzał zawsze zdobyczą. Tym królem-księciem może być tylko Chrobry. Pieśń zgadza się z historją, mówiąc o trzech wyprawach zwycięskich owego króla-księcia przeciwko Niemcom. Nikt już po Chrobrym nie prowadził Serbów Łużyckich przeciwko Niemcom.

Ciekawy jest początek tej pieśni, który opiewa, że Serbowie bili Niemców wówczas, kiedy nikt z Łużyczan nie umiał jeszcze ni słowa po niemiecku. Jak wykazuje W. Bogusławski w wspomnianym już „Rysie dziejów Serbo-Łużyckich". Serbowie nie umieli po niemiecku w XI. w., a może i w XII. Wkrótce potem jeśli jeszcze nie lud wiejski, to znaczna część mieszczaństwa i wykształceńsze warstwy poczęły ulegać gwałtownie germanizacji. Jasne więc, że pieśń ta powstała wówczas, gdy germanizacja narodu posunęła się już dość znacznie.

We wdzięcznej pamięci snać zachował lud Serbów Łużyckich owego króla-księcia, który niósł im wyzwolenie z pod jarzma niemieckiego, skoro pieśń o nim przetrwała do naszych czasów. Lecz oto jej tekst, który w zbiorku Smolera nosi nagłówek:

Serbów dobycza.

Serbjo so do Njemcow hotowachu
Słowcza pak Njemski nemozachu.
Swoje sej koniki sedowachu
Swoje sej ostrohi pszi pinachu
Swoje sej mecziki pszipinachu
Do runoh pola po zjezdzowahu.
Prjeni kroc na wojnu će'nichu
Wulke tam dobyczje szcinichu.
Dyz bje z'onił tam kral a fjerszta,
Dał je jim wszitkim won, pszed so pszinć.
Dał je jim wszitkim woń nowu drasta
Dał je jich wszitkich woń do wojaków.
Druhi kroć na wojnu će'nichu,
Wulke tam dobyczje szcinichu.
Dyż bje to z'onił kral a fjerszta.
Dał je jich wszitkich pszed so pszinć.
Dał je jich wszitkich woń zoblekać,
Do lutoh' czerwe noh' czorlacha.
Tszeci kroć na wojnu ce'nichu,
Wulke tam dobyczje szcinichu.
Dyż bje to z'onił kral a fjerszta.
Dał je jich wszitkich pszed so pszinć
Dał je woń kójždemu ryzy konja.
Dał je woń kójždemu ryzy konja.
Hiszcze tón swjetły mecz zejrawanju.

Na język polski przełożył tę pieśń Roman Zamorski. Przekład ten, który podajemy poniżej, drukowała „Gazeta Warszawska" w r. 1859 w nr. 292:

Serby na Niemców w bój ciągnęli,
Choć po niemiecku nie umieli.
Koniki sobie posiodłali,
Ostrogi sobie przypinali,
Ostre swe miecze przywiesili.
W szerokie pola wyruszyli.
Pierwszy raz z wrogiem bój stoczyli.
Gdy się król-książe o tem dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
Każdemu nowa dana szata,
Z jasnego jako krew szkarłata.
Trzeci raz z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń zdobyli.
Gdy się król-książe o tem dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
A gdy wszyscy przybyli doń,
Każdemu dostał się bułany koń.
Każdemu dostał się bułany koń.
I jeszcze jasna do boku broń.

Mikołaj Rej.

Mikołaj Rej pochodził z Krakowskiego, od dzieciństwa zaś wychowywał się na Rusi Czerwonej.

Ojciec Mikołaja Reja tak kochał swego jedynaka, iż w żaden sposób nie chciał z nim się rozstać i chował go przy sobie na wsi. Młody Rej bujał po lasach i łąkach nad Dniestrem, słynąc w okolicy, jako zawołany myśliwy i rybak. Zawsze wracał do domu tak obładowany zdobyczą myślistwa i rybołówstwa, że byle wstrząsnąć jego odzienie, zewsząd sypało się mnóstwo rozmaitego rodzaju ryb, ptactwa i zwierzyny. Powszechnie postrzegano w nim niepospolite zdolności i każdy mawiał, że z tego chłopca byłby nielada człowiek, gdyby mu dano wychowanie. Ojciec skłonił się nakoniec do wyprawienia go do szkoły, a gdy to pokazało się rzeczą już zapóźną, bo, skosztowawszy swobody życia, żadną miarą nie chciał uczyć się niczego, umyślił oddać go na dwór jakiego pana i w tym celu kupił mu kitajki karmazynowej na kabat. Nim jednak uszyto suknię, Mikołaj pokrajał kitajkę w kawałki i bawił się, robiąc z niej czerwone proporczyki, które przyczepiał do szyji i skrzydeł łapanym wronom. Musiano tedy nową wyprawę z Krakowa sprowadzić.

Wojewoda, którego ojciec Reja wybrał mu na przewodnika, był człowiek rozumny, potrafił poznać i ocenić zdolności młodzieńca. Rej wyuczył się u niego pisać po polsku i układać listy. Mieszkając zaś w Krakowie, gdzie, około świetnego naówczas dworu królewskiego, snuło się mnóstwo cudzoziemców, mówiono rozmaitemi językami obcemi, gadano o wszystkiem, co się działo w Europie, puszczano z rąk do rąk najnowsze i najciekawsze książki, uczuł wielką chęć oświecenia się i tak szczerze wziął się do łaciny, że wkrótce mógł już czytać rozprawy teologiczne i polemiczne, do czego zresztą nie trzeba było wielkiej umiejętności filologicznej, bo o tych rzeczach słyszał ciągle. Tym sposobem z nieuka wyszedł sam na pisarza.

Rej dał się najprzód poznać z pism religijnych, z psalmów; później zwrócił na się uwagę dworu i szlachty przez swoje pisma polemiczne. Jako poeta, Rej był bardzo mierny, zgoła nawet nie miał usposobienia poetyckiego; daleko znakomitsze zajmuje miejsce, jako pisarz prozą.

Mumje.

Pamiętamy wszyscy jak wielkie zainteresowanie w całym świecie obudziło odnalezienie grobu króla Tutankhamena. Mumje zresztą zawsze wzbudzają pewną ciekawość. Chciałoby się odkryć rąbek tajemnicy i wiedzieć jakiem było życie i dzieje człowieka, którego po setkach lat oglądamy w postaci zasuszonej, sztywnej i dobrze zakonserwowanej.

Wśród licznych mumji egipskich, które dostały się do muzeów europejskich wiele jest takich, które nie mają historji, ale są i takie, które nawet po śmierci nie zaznały spokoju.

Takim był los „pani Putyfarji", którą przez długie lata można było oglądać w „Bibljoteque Nationale" w Paryżu.

Znany francuski egiptolog Champollion przywiózł do Paryża, w połowie zeszłego stulecia kilkanaście mumji doskonale zakonserwowanych. Wyjęto mumje z ich trumienek i poddano je pewnego rodzaju autopsji, aby poznać system balsamowania i spowijania. Najpiękniejszą z nich, której wizerunek wymalowany na trumnie przedstawiał damę z uśmiechniętym wyrazem twarzy i oczami prawie że kokieteryjnie patrzącemi, uczniowie egiptologa nazwali „panią Putyfarową". Gdy mumję odwinięto z niezliczonych powijaków i p. Putyfarowa ukazała się w całej swej nagości, przekonano się, że musiała być kiedyś niezwykle piękną kobietą, a nadana jej nazwa zupełnie jest usprawiedliwioną. Wszystkie mumje umieszczono w pół kole w jednej z sal bibljotecznych, w postaci stojącej.

Wszystko to działo się za czasów Restauracji. Pewnego dnia zarząd bibljoteki otrzymał zapowiedź odwiedzenia jej królewskiej mości księżny du Barri. Dyrektor przebiegał salę, które przygotowano na przybycie tak dostojnego gościa. W galerjach, składach i salach wszystko było w porządku. Jeden szczegół tylko zwrócił uwagę dyrektora i wydał on natychmiast jakiś tajemniczy rozkaz. Gdy księżna du Barri przyszła do sali, w której stały mumje, nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Pani Putyfarowej dano przepaskę z zielonej materji, aby nie obrażać dostojnych oczu... Wizyta się skończyła, ale przepaski z pani Putyfarowej nie zdjęto i tak tkwiła dalej w niezwykłym stroju.

W 1870 r., gdy pociski pruskie padały na Paryż, ukryto w piwnicach bibljoteki wszystkie cenne przedmioty. Wraz z niemi powędrowała w podziemia i pani Putyfarowa. Skończyła się jednak wojna i bibljotekę uporządkowano z powrotem. Jedna skrzynia tylko została w piwnicy zalana wodą, a w skrzyni tej tkwiła niezmęczona mumja. Zepsuła się zupełnie i musiano ją zakopać. Zwłoki jej dotąd spoczywają w podziemiach bibljoteki.

Do innej mumji przywiezionej przez Champolliona przywiązany był podobny przesąd jak do króla Tutankhamena. Od 1820 r. utrzymuje się przesąd, że ma „złe oczy". W księżycowe noce budzi się i straszy. Widział ją chodzącą jeden ze strażników bibljotecznych. Włosy stanęły mu dębem na głowie. Wyjął rewolwer i strzelił. W trzy dni potem zmarł nagle. Bo mumja mszczą się okrutnie, gdy kto ośmieli się zakłócić ich spokój. Do dziś dnia, strażnicy a są nimi obecnie dawni żołnierze, którzy tyle strasznych dni przeżyli na wojnie, pełniąc nocną służbę, omijają starannie salę, w której w półkole stoją nieruchome, sztywne mumje.

Jak się łowi dzikie słonie?

Na wyspie Ceylon słonie używane są do robót polnych, co parę więc lat urządza się wielki „krall" rodzaj polowania, w celu ujarzmienia nowego zastępu dzikich słoni.

Właściwie słowo krall oznacza silnie ogrodzony w formie kwadratu kawał dżungli, z jednem tylko, wąskiem wejściem, od którego w głąb dżungli prowadzi rozszerzający się stopniowo korytarz, utworzony również za pomocą silnego ogrodzenia, ukrytego w bujnej roślinności dżungli.

Na kilka miesięcy przed właściwem polowaniem kilkudziesięciu naganiaczy, tropi stada dzikich słoni i stara się je spędzić w okolicę najszerszego punktu korytarza kralu. Gdy wiadomo już, że dostateczna ilość słoni została zwabiona w zasadzkę, — naznacza się dzień właściwego polowania. Dzień ten jest wielką uroczystością na Ceylonie, tłumy ludu się zbierają po zewnętrznej stronie ogrodzenia i wielu cudzoziemców zjeżdża się aby ujrzeć to niezwykłe widowisko. Po drugiej stronie ogrodzenia znajdują się trybuny dla gubernatora, władz i zaproszonych gości. Całe terytorjum ogrodzone obstawia się uzbrojonemi ludźmi i na dany sygnał, gęsta linja naganiczy wydając dzikie okrzyki, strzelając w powietrze i paląc pochodnie pędzi przerażone stada dzikich słoni w kierunku wąskiego wejścia do zagrody. Słonie z natury są łagodne i nieśmiałe, przeważnie więc dają się pędzić bez oporu, ale zdarzają się osobniki buntownicze, które próbują zawróciwszy, przerwać linję naganiaczy, bądź też zforsować barjery boczne korytarza, lecz i tam znajduje się uzbrojona straż, zdarzają się jednak często ofiary w ludziach.

Gdy uda się szczęśliwie zapędzić wszystkie słonie do zagrody, nastaje cisza, zamyka się jedyne wejście i słonie są już w pułapce. Lecz nie jest to jeszcze koniec polowania. Zazwyczaj w obrębie kralu znajduje się sadzawka lub jeziorko. Słonie uspokojone ciszą zaczynają się pluskać, oblewać nawzajem wodą, porykując wesoło.

Rozpoczyna się drugi akt kralu, tak zwany „noosing", — Kulisi pod osłoną oswojon. słoni, wycinają w obrębie kralu krzewy i małe drzewka, zasłaniające widok dzikiego stada, potem wzdłuż barjery rozpalają duże ogniska, żeby słonie nie próbowały jej forsować.

Poczem wpuszcza się do zagrody ze dwadzieścia oswojonych słoni. Na każdym z nich znajduje się po czterech ludzi, uzbrojonych w piki, między niemi idą naganiacze, mając w rękach lasso, zapas sznurów, silne pętle z rzemienia, których końce przymocowane są do szyji oswojonych słoni.

Na rozkaz głównego łowczego swojskie słonie idą ku stadu, za niemi skradają się naganiacze. Dzikie stado powoli zawraca wgląb kralu. Wtedy naganiacz zręcznym ruchem podrzuca pętlę pod uniesioną tylną nogę ostatniego słonia, pętlę zaciska się na nodze i zatrzymuje go rzemień przytwierdzony do swojskiego słonia. Dziki słoń wyrywa się, szarpie, ale swojski pociąga go w swoją stronę, zaś pozostałe dwa zagradzają mu drogę i popychają w tył. Tak go tyłem doprowadzają do drzewa, podrzuca mu się pętlę pod drugą nogę tylnią, przywiązuje do drzewa i wtedy krępuje całego mocnemi sznurami. Biedna ofiara ryczy przeraźliwie, a stróżujący przy nim oswojony słoń, dotyka go lekko trąbą, dodając mu prawdopodobnie odwagi. Polowanie trwa czasem parę dni, zanim wszystkie słonie nie zostaną wyłapane w powyższy sposób — poczem krall jest skończony.

Ładny skutek kuracji.

Przyjaciel mój jest zwyczajnym, ot najzwyczajniejszym śmiertelnikiem, to znaczy, że posiada wszystkie wady i zalety (te już w mniejszym stopniu) przeciętnych ludzi. Powiem wam w sekrecie, że oprócz nałogu palenia papierosów nie gardzi jeszcze alkoholem, co zresztą jest w obecnych smutnych czasach zrozumiałem.

Przyjaciel mój Wiktor ma piękne kawalerskie mieszkanie, gabinet, a tam szafkę t. zw. „artyleryjską", to znaczy zawsze zaopatrzoną w baterję wódek i likierów. Przy flaszkach stoi jeden, jedyny kieliszek, z którego Wiktorek codziennie parokrotnie pociąga, gdy przyjdzie nań chwila zwątpienia i rozterki.

Pewnego jednak razu postanowił zerwać z brzydkim, pono nałogiem pijaństwa, któremu, jak już się wyżej dowiedzieliśmy, oddawał się w samotności i zwrócił się do swojego dobrego znajomego Tadeusza, o którym chodziły słuchy, że posiada jakiś doskonały sposób na wyrzeczenie się pijaństwa.

— Przeprowadzisz następującą kurację: — informował go pan Tadeusz.

— Sposób mój jest bardzo prosty. Do kieliszka z którego codziennie „podobno" parokrotnie pijasz musisz co rano wlewać kropelkę roztopionego laku. W ten sposób codziennie będziesz miał w kieliszku o kropelkę mniej wódki i po paru miesiącach, ani się nie spostrzeżesz, gdy kieliszek będzie pełny laku, a ty odzwyczaisz się od picia.

Istotnie i sposób niebywały — oświadczył mój przyjaciel — zaraz biegnę do domu i rozpoczynam kurację poleconą mi przez ciebie.

Upłynęło pół roku. Mój przyjaciel spotyka Wiktora, który zaciekawiony pyta:

— No, pomogła kuracja?

— Gdzie tam, laku jest może tylko ćwiartka.

— Jak to przez pół roku?

— No widzisz, bałem się, że lejąc lak do kieliszka za prędko ukończę kurację, więc wziąłem odrazu szklankę...